Dodatek do „Gazety Narodowej“

z dnia 9 Czerwca 1901.

ROCZNICA.

Lwów d. 8 czerwca.

Dnia 5 czerwca zeszłego roku wkroczył lord Roberts do Pretoryi jako dumny zwycięzca, giełda londyńska wyprawiała w swoim pałacu z radości dzikie tany, prasa angielska trąbami i bębnami ogłaszała światu tryumfalnie ostateczne i już nieodmienne zwycięstwo Wielkiej Brytanii. Smutek powiał po świecie, bo już się zdawało namacalnem, że z Boerami wszystko skończone. Pisano wówczas naprzód nekrologi.

Jakoż było fatalnie z Boerami i wróżby loiki człowieczej zdawały się nieomylnemi. Sławny Cronje wraz ze swoim korpusem w niewoli; Kimberley, Ladysmith, a wreszcie i Mafeking oswobodzone od oblężenia; a wreszcie i Boerzy tak podupadli na duchu, że energiczny pochód Robertsa do Johannesburga i Pretoryi prawie nie napotkał przeszkód. Po upadku drugiej już stolicy Boerów mały już tylko zastęp bojowników wytrwał wiernie przy swoich wodzach tak dzielnych jak: Botha, Dewet, Delarey i inni.

Ale z drugiej strony wkroczenie Anglików do Johannesburga i Pretoryi aż nazbyt przyczyniło się do ponownego rozjuszenia oporu między Boerami. Wielu z nich, zawierzając proklamacyom i obiecankom naczelnego wodza Anglików, który przecie nie mógł być takim szelmą, jak Milner, oswoiło się powoli z myślą, że to przecież nie jest nieszczęściem bez granic być wcielonymi do państwa angielskiego. Więc też poczęli spokojnie się przypatrywać, co dalej będzie.

Jakoż mieli sposobność dokładnie na własnej skórze zapoznać się z błogosławieństwami panowania angielskiego — i poszli do głowy po rozum. Brutalne postępowanie Anglików w „anektowanych“ krajach wcisnęło nanowo broń do rąk tysiącom, którzy się byli zdali na fatum nieuchronne. I przysięgli sobie oni święcie, nie spocząć dopóty, aż przeklęty wróg śmiertelny do nogi ustąpi z obu republik, albo ostatni Boer nie padnie w walce o niepodległość.

Krwawo pouczeni doświadczeniem, zmienili też Boerzy swoją organizacyę wojskową i strategię. Wzięte w kluby ścisłej karności szeregi podjęły i znakomicie przeprowadzają system wojny partyzanckiej, która już o trzecią część zredukowała armię angielską, a resztę na umor zdemoralizowała i Kitchener ciągle się o nowe posiłki dopomina.

Rok upłynął od zajęcia Pretoryi i położenie Anglików jest daleko fatalniejsze. Anglicy popalili fermy boerskie, zabrali bydło, konie, kobiety, dzieci i starców pospędzali do miast na głód i niewysłowioną nędzę. Im brutalniej postępowali „zbawcy uciśnionych“, tem bardziej rozjarzał się opór Boerów — i przyszło do tego że nawet ociągający się Afrykandrzy z Kaplandu poczęli wstępować w szeregi boerskie, że Kapland, w którym rok temu było spokojnie jak w Irlandyi, teraz rozgorzał ogniem.

Więc też w tę rocznicę szczupły ten naród bohaterów stoi w polu niezwyciężony, a przemożny nieprzyjaciel nawet tuż pod samą Pretoryą nie jest panem sytuacyi. Loika znowu patrzy zdumiona, jak dzieje idą swoją a nie jej drogami.

Córki „Bożej miłości“ w Krakowie a subwencya.

Wielkiej wrzawy dziennikarskiej powodem są dwa świeże wypadki: Rozporządzenie Rady szkolnej krajowej, oświadczające się za subwencyonowaniem szkół ewangelickich w Galicyi z funduszu k r a j o w e g o i subwencya Rady miejskiej krakowskiej dla dwu szkół niemieckich w Krakowie istniejących.

Za rozporządzeniem Rady szkolnej krajowej kopij kruszyć nie potrzebujemy. Sama motywuje swój komunikat tem, że szkoły prywatne ewangelickie zastępują w zupełności szkoły publiczne ludowe i oszczędzają w ten sposób funduszowi szkolnemu dość znacznych wydatków na utrzymanie szkół publicznych. Nadto krajowi powinno zależeć na tem, aby szkoły utrzymywane przez gminy ewangelickie były ściślej związane z krajem i z ogólnym kierunkiem naszego publicznego wychowania.

Inaczej trochę przedstawia się afera krakowska.

Są w Krakowie dwie szkoły niemieckie. Jedna ewangelicka, w której duch germanizatorski niewątpliwie panuje. Aby zły wpływ tej szkoły ograniczyć i nie dozwolić, żeby dzieci katolików Niemców do tej szkoły chodziły, postarał się śp. kardynał Dunajewski, gorący przecież patryota, o sprowadzenie do Krakowa „Córek Bożej miłości“, które mają drugą szkołę niemiecką, ale k a t o l i c k ą. Do szkoły tej posyłają swe dzieci i liczni Polacy, szczególnie urzędnicy, księża swe siostry i w ogóle inteligencya, która szczupłemi środkami materyalnemi na wychowanie młodego pokolenia rozporządza, a to właściwie dla taniości tego zakładu i dla języka niemieckiego, którego tam gruntownie i w krótkim czasie nauczyć się można. Jeśli uznajemy cel, tedy i środki odpowiednie obierać należy Czujemy i uznajemy potrzebę języka niemieckiego w Austryi. A wiemy, że naszych szkołach nauczyć się go trudno. Bo nawet maturzysta nie rozmówi się po niemiecku choćby z żydem arendarzem.

Nie dziwić się przeto rodzicom, którzy uznając potrzebę języka niemieckiego dla swych dzieci, posyłają je do szkoły niemieckiej.

O szkole Córek Bożej miłości to wiedzieć należy, że wychowanie dają dziatwie staranne, szczerze katolickie, że język polski jest tam równie obowiązkowy, że wspaniałą swą szkołę na Pędzichowie budowały siłami krajowemi (gmach stawiał budowniczy krakowski p. Kaczmarski) i że skromnym, cichym i wysoce wykształconym niewiastom ani się śni o germanizowaniu swoich pupilek.

Subwencya tedy rady miejskiej krakowskiej, bardzo skromna nawiasem powiedziawszy, słusznie się Córkom Bożej miłości należy

Radzie miejskiej krakowskiej jedno tylko wytykamy: Idąc po myśli ś. p. kardynała Dunajewskiego i znając pożytek szkoły katolickiej niemieckiej, powinna była subwencyę ewangelicką złączyć razem i dać Córkom Bożej miłości obie subwencye.

Poczciwy zaś p. Kazimierz Bartoszewicz niewątpliwie się myli, podciągając pod jeden mianownik szkołę ewangelicką w Krakowie i szkołę katolicką zacnych Córek Bożej miłości.

A znając prawość charakteru tego męża nie wątpimy, że sprawdziwszy nasze uwagi, raczy w przyszłości dwie te szkoły odróżniać.

Zapraszamy go do przejrzenia programów szkoły w języku polskim i do zwiedzenia zakładu, w którym się dobrze po polsku rozmówić może.

X. Fr. J.

Obrazki z „Wysokiej Izby“.

Wiedeń 7 czerwca.

Man lernt nie aus — powiadają Niemcy. O słuszności tego zdania przekonuję się coraz bardziej, w miarę, jak posiedzenia wieczorne Izby stają się trwałą instytucyą parlamentarną.

Zdawało mi się, że w ostatnim obrazku wyczerpałem całą psychologię wieczornych posiedzeń, zdawało mi się, że nastrój ogólny, sposób obrad, soczystość miotanych sobie wzajemnie grubiaństw, pogadanki kuloarowe, słowem, że całe to życie i ruch na wieczornem posiedzeniu w pewien typ ująć potrafiłem. Ku wielkiemu zmartwieniu, widzę jednakowoż, że srogie było to złudzenie.

Wiadomo wam, że na ustanowienie posiedzeń wieczornych wpłynęły motywa utylitarne. Sądzono — i słusznie — że ponieważ wieczorem umysły posłów są podniecone, pulsy biją szybciej — więc i praca pójdzie raźniej i gładziej. Istotnie tak było. Zapomniano atoli o tem, że ta spotęgowana „energia wieczorna“ u posłów była niejako odkryciem zarazem siły żywiołowej, której zastosowanie w praktyce wymaga długoletnich studyów i doświadczeń, gdyż ludzkości gromadzić może skarby i dobrodziejstwa lub nieść jej nędzę i zniszczenie.

Jak długo parlament na posiedzeniach dziennych pracował, to posłowie i na wieczornych obradach pracowali, lecz z większem wytężeniem z podwyższoną energią. Skoro jednak zamiast pracować, zaczęto lżyć i wymyślać, natenczas i na wieczornych posiedzeniach czyniono to samo, lecz o wiele ordynaryjniej, bardziej po grubiańsku.

Doszło do tego, że nieobznajomieni ze stosunkami w parlamencie austryackim, przypatrując i przysłuchując się takiemu „posiedzeniu“ wieczornemu, sądzili, że zręczności p. Koerbera udało się nakłonić niektórych „ustawodawców“ do powstrzymania niepohamowanej żądzy miotania grubiaństw podczas posiedzeń dziennych, dając im sposobność „ulżenia“ sobie na umyślnie w tym celu ustanowionych posiedzeniach wieczornych.

To też bogactwo pomysłów i form, w jakich się grubiaństwa na posiedzeniach wieczornych przejawiają — jest wprost oszołomiające.

Tak zwana secesya w malarstwie, z pewnością wielkiej dowiodła pomysłowości w wynajdywaniu nowych form, tak, że często człowieka od motyki trudno odróżnić — lecz z fantazyą poselskich grubianów nie może iść w zawody.

Nie spoczywający nigdy duch „wymyślaczy“ parlamentarnych, wynalazł np. niedawno nowy rodzaj „grubiaństw arytmetycznych“.

Posprzecza się np. dwóch „posłów“ w tem jeden drugiemu, jakby na zakończenie sporu, recytuje w twarz szereg najniewinniejszych cyfr.

Zdaje ci się, że dla przebłagania przeciwnika dyktuje mu „pewne terno na Line“, albo że to nowa zabawa w „grad-ungrad“.

Na drugi dzień dopiero z dzienników partyjnych dowiadujesz się, że to była propozycya, na którą się jeszcze nikt nie zgodził...

Gdyby system arytmetycznych grubiaństw w parlamencie naszym się przyjął, natenczas protokoły stenograficzne z wieczornych posiedzeń będą wyglądały jak tablice logarytmiczne.

To też zdarza się czasem, że posłowie, którzy nietylko do arytmetyki mają „słabą głowę“ lecz i trunków nie znoszą — tę samą propozycyę w zrozumiałym dla wszystkich wypowiadają języku. Nie brzmi to wprawdzie tak tajemniczo, ale za to o wiele — ordynaryjniej.

Ta „wsteczna czułość“ pijanych lub i w trzeźwym stanie ordynaryjnych ojców narodu, nabawiła już naszego nieboraka prezydenta nie mało kłopotu. Dał też za wygranę, a podczas gdy w izbie panuje krzyk i wrzawa, on najspokojniej zabawia się z tą seryą posłów, którzy w dzień mieli „służbę“ a wieczorem zaś odpoczywają.

Wśród takiej wrzawy, przemawiał raz któryś z opozycyi, ciskając gromy na wszystkich i wszystko — a nasz prezydent — jak zwykle — w najlepsze się zabawiał

Opozycyjny Demostenes przemawiał z coraz większym zapałem — coraz donośniej i gorącą filipikę zakończył cytatem ze słynnego „*J' accuse*“ Zoli: *la verité est en marche*!

Poczciwy nasz prezydent, w zgiełku, usłyszawszy tylko ostatnie słowo cytatu, zerwał się na równe nogi, machnął potężnie dzwonkiem i czerwony ze złości, stentorowym głosem zawołał:

— *Ich muss den Herrn Redner wegen seines letzten ganz unqualificirbaren Ausdruckes aufs energischeste zur Ordnung rufen*!

Posłowie, którzy podobno byli świadkami owego zajścia zapewniają mnie, że nawet to energiczne wystąpienie naszego prezydenta, nie zdoła podnieść poziomu etycznego ani moralnego wieczornych posiedzeń izby.

Gnom.

KORESPONDENCYE.

Petersburg 4 czerwca.

(*Monopol wódczany. Podatki*).

Rosyjskie ministerstwo skarbu pod kierownictwem Wittego nie okazało się zbyt produktywnem na polu reformy podatkowej. Najważniejsze jego dzieło: monopol wódczany, im dłużej istnieje, tem więcej nasuwa wątpliwości. Wódka podrożała o 50 prc. ale nie stała się lepszą. Pijaństwo, lub wyrażając się łagodnie, konsumcya alkoholu nie zmniejszyła się. A z drugiej strony zwyżka dochodów państwa z tego tytułu zwiększyła się jedynie o 12 milionów rubli rocznie. Wszystkie bowiem dochody pochłania kosztowna administracya monopolu wódczanego.

Aż do najwyższego napięcia skręcona jest śruba podatkowa od tytoniu, od przemysłowych przedsiębiorstw wszelkiego rodzaju, wymyślono najrozmaitsze należytości stemplowe, ale nie pomyślano wcale o jakimś systematycznym sprawiedliwym rozkładzie ciężarów podatkowych.

W początkach swego urzędowania zapowiadał minister Witte reformy podatkowe w kierunku pewnego rozdziału ciężarów podatkowych na korzyść klas uboższych, ale sporządzony przez niego projekt podatku dochodowego natrafił w radzie państwowej na taki opór, że Witte pośpiesznie musiał go wycofać.

Sprawa podatku dochodowego wkrótce jednak przyjść musi znowu na tapet, gdyż od niego zależy uregulowanie podatku od cukru. Ten podatek jest olbrzymi, przynosi państwu rocznie 60 milionów rs. ale nadzwyczaj jest ciężkim dla ludności. Publicyści nie jednokrotnie już zwracali uwagę na ten wielki błąd w odżywianiu się rosyjskiego ludu, iż musi się on niemal zupełnie obchodzić bez cukru. Chłop rosyjski tylko w wielkie święto spotyka się z cukrem, a powodem tego drożyzna tego artykułu, spowodowana jego olbrzymim podatkiem.

Ale teraz już i właściciele wielkich posiadłości zaczynają agitować przeciw temu podatkowi od cukru. Upadek gospodarstwa rolnego zmusza właścicieli ziemskich do zwrócenia większej uwagi na przemysł rolniczy. Zakładali by więc chętnie cukrownie, gdyby rachować mogli na większy zbyt cukru. To jednak zależy wyłącznie od zniżenia podatku cukrowego.

Witte jednak nie chce się zgodzić na żądane zniżenie bez jakiejś kompenzaty w formie innego podatku. Otóż o wynalezienie tej formy obecnie się rozchodzi.

K.

ROZMAITOŚCI.

Kongres poetów. W ubiegłą niedzielę miało się odbyć w Paryżu wielkie święto. Kongres poetów! Tak jest, piękna czytelniczko, obecnie nawet poeci, idąc śladem farmaceutów i weterynarzy, urządzają kongresy, jak gdyby poezya była „zawodem“. Okazało się wszakże że zawód ten, powodujący w życiu tyle gorzkich zawodów, nie nadaje się do tego rodzaju zjazdów. Wybrałem się do pałacu towarzystw naukowych, myśląc, iż zobaczę z bliska najznakomitszych wieszczów Francyi. Co za rozczarowanie! Ze dwie setki panów bardzo młodych lub dam mocno podstarzałych. Rozglądam się, gdzie Sully Prud'homme, de Hérédia, Rostand, de Régnier i inne głośne „firmy“... Nie ma z nich nikogo. W kącie dostrzegłem tylko Mendeza, przy stole prezydyalnym p. Dierxa, który mimo tytułu „króla poetów“, nadanego mu przed paru laty przez głosowanie powszechne, wybrańcem Muz nie jest... W ciasnej i niskiej sali upał, ścisk, hałas nie do opisania. Zupełnie jak w izbie poselskiej podczas senzacyjnych rozpraw. Kilku panów odczytało jakieś referaty, których nikt nie słuchał i słyszeć zresztą w rozgwarze nie mógł, ponieważ wszyscy chcieli mówić, więc każdy, wstępujący na estradę, spotykał się z wrzaskliwą niechęcią zawistnych, aż wreszcie zamknięto posiedzenie bez żadnych uchwał lub konkluzyi. Poezya tryumfowała, ponieważ nie dała się wprządz w zwykłe, fachowe jarzmo.

Artysta o Ojcu św. Jeden z wiedeńskich rozgłośniejszych medalierów, p. Marschall otrzymał wezwanie z Watykanu, by wykonał medal pamiątnikowy ku uświetnieniu roku świętego. Na jednej stronie owego medalu miała widnieć podobizna Leona XIII. Aby ją należycie wykonać, p. Marschall udał się do Rzymu. Po przyjeździe miał nasamprzód posłuchanie u kardynała Rampolli, a dnia 23 maja uzyskał audyencyą u Ojca św który miał mu zaraz pozować.

O oznaczonej godzinie szambelan papieski zaprowadził go do biblioteki prywatnej, znajdującej się przy gabinecie Ojca św. Zaledwie ustawiono fotel na maleńkiej estradzie, by padało na to miejsce dobre światło, otworzyły się drzwi gabinetu i wszedł Papież. Ubrany biało, szedł sam, nawet się laską nie podpierając.

Marschall upadł do nóg Ojca świętego, całując Mu pantofel; Leon XIII. schylił się i podniósł artystę, witając kilku dobrotliwemi słowy Bez trudu następnie, krokiem lekkim podszedł do przygotowanego fotelu i zasiadłszy, wezwał artystę, by rozpoczął modelowanie. Mówi głośno, poważnym, pięknie brzmiącym głosem; każde słowo wychodzi wyraźnie, wolno.

— Muszę wyznać — opowiadał Marschall za powrotem do Wiednia — że nie wierzyłem poprzednio opowiadaniom o rzeźkości Papieża. To, co widziałem, przeszło wszelkie opowiadania. Tkwi jakiś pierwiastek cudowny w tym wielkim Starcu. Starość dosięgła go, nie ryjąc na nim żadnych śladów, jakimi zwykle znaczy innych ludzi. Nieco pochylona naprzód, zgarbiona postawa — oto wszystko, co mówi, że Leon XIII zaczął dziewięćdziesiąty drugi rok życia, żadnych zmarszczek i fałd na twarzy. Cera świeża, rumiana nawet; skóra gładka; czoło czyste, gładkie; w oczach wielkich spojrzenie śmiałe i bystre. Ani głowa, ani ręce nie trzęsą się. Przez półtorej godziny pozowania Ojciec św. nie okazał najmniejszego zmęczenia. Nadto co za siła woli! Gdy zacząłem modelować wosk, Ojciec św. sądził, że musi siedzieć nieruchomo. I przez kwadrans cały robił wrażenie posągu, wykutego w kamieniu! Ani powieką nie drgnął; ani ręką nie ruszył. Dopiero na moje prośby, aby w interesie sztuki nie unieruchomiał twarzy, zaczął się śmiać i rozmawiać.

Alkoholizm za czasów Sezostrysa. Związki antialkoholiczne nie wiedzą zapewne same, jak są starożytną instytucyą. I któżby przypuszczał, że znano je za rządów Sezostryca i że już dystylatorzy egipscy umieli sobie zjednywać konsumentów? Poucza o tem ciekawy artykuł, umieszczony w *France Medicinale*. Dowiadujemy się z niego, że za czasów Józefa i Mojżesza alkoholizm był jednym z czynników rozkładowych starego Egiptu, tak iż Egipcyanie wyprzedzili inne narody nietylko we wszystkich dziedzinach cywilizacyi, lecz są też najdawniejszymi pijakami na świecie. Egipskie szynki były urządzone prawie tak samo, jak nasze, z tą tylko różnicą, że się nie rozpościerały po ulicach pierwszorzędnych, lecz kryły się skromnie w zaułkach. Sciany były bielone wapnem, w obszernej izbie stały stołki i stoły. Sprzedawano tam trzy rodzaje napojów: arp, czyli wino, hek albo piwo, i skodon, czyli alkohol palmowy. Gatunki wina były liczne, poczynając od krajowych, a kończąc na syryjskich i fenickich. Do olbrzymiej konsumcyi piwa przyczynili się w równej mierze faraonowie ze swym dworem, jak i najniższe klasy. Jednym z największych dostojników był nadzorca królewskich browarów. Pijaństwo było tak częste, że malarze, odtwarzający na nagrobkach wszystkie zajęcia i rozrywki nieboszczyka, malowali sceny pijackie nietylko na sarkofagach, ale i na bandażach, spowijających mumie. Widzimy na nich pijaków, prowadzonych do więzienia, kobiety, składające oczywiste dowody nietrzeźwości, ku widocznemu zgorszeniu skromniejszych towarzyszek. Chcąc położyć kres tym nadużyciom, Sezostrys utworzył ligę antialkoholiczną, jak o tem świadczą napisy i i rysunki. A zatem Noe był sprawcą złego, a Sezostrys chciał złe wytępić, lecz chwasty rozrastają się zazwyczaj bujniej od dobrego ziarna.

Zręczny pan. W Budapeszcie przed kilku dniami do pewnego wysokiego dygnitarza, jenerała, przybył jeden z większych dostawców w sprawie swej oferty, prosząc o jej poparcie. Jenerał przyrzekł, że zbada sprawę, a po odejściu dostawcy, spostrzegł na stole kopertę a w niej dziesięć sztuk banknotów po 1000 złr. Widząc w tem usiłowanie przekupstwa, jenerał doniósł zaraz policyi. Ów dostawca jednak był bardzo sprytny. Bo oto jak komisarz policyi oznajmił, był ten dostawca przed chwilą w policyi i zrobił doniesienie, że zgubił 10.000 złr. Nic mu więc zrobić nie można.

Tajemnica pisma „maya“. Rząd meksykański prowadzi wojnę nieustanną z niepodbitem jeszcze plemieniem indyjskiem „maya“. Otóż przed kilkunastu dniami po walce zaciekłej zdobyto święte miasto Chan Santa Cruz. Między innemi, Meksykanie znaleźli tam wiele cennych manuskryptów, skreślonych na odrębnym papierze lub na tafelkach glinianych. Rząd organizuje wyprawę naukową do zdobytego miasta dla zbadania tajemnic tego pisma oraz innych zabytków indyjskich. Dotychczas nikt nie zdołał przeniknąć tajemnicy pisma Indyan szczepu „maya“.

* **„Neron“** Laury, zbierane przez Sienkiewicza we Włoszech, skłoniły nowego librecistę Boita do obrania Nerona za bohatera dramatu. Autor przedstawił także prześladowanie chrześcijan, męczeństwa w cyrku, pożar Rzymu itd. W genialnym utworze Sienkiewicza Neron ukazuje się jako przedenerwowany okrutnik i rozpustnik, dający się unosić zwyrodniałej wyobraźni. Boito odtwarza go jako Orestesa, trawionego wyrzutami sumienia; ścigany wciąż przez Erynnye mścicielki, odpokutowuje matkobójstwo ciągłym strachem, a chcąc się ogłuszyć, zapomnieć, dopuszcza się coraz to nowych zbrodni. Już w pierwszej scenie cezar błądzi po drodze Apijskiej o zmroku, ucieka przed widziadłami i głosami, które mu wyrzucają te potworne morderstwa. Strach Nerona od pierwszego do ostatniego aktu, idzie za nim, jak cień do świątyni Szymona Magika, błądzi po ogrodach Palatynu, po podziemiach cyrku, gdzie cezar zstępuje, aby liczyć ofiary, chodzi za nim po tarasach pałacu, skąd Neron przygląda się pożarowi Rzymu, prześladuje go na każdym kroku aż do chwili, gdy matkobójca umiera wśród przekleństwa widm i cieniów swoich ofiar.

* **W uniwersytecie chicagoskim** odbywać się będą prelekcye o stanie kulturalnym i posłannictwie narodów: polskiego, czeskiego i rosyjskiego. Wykładać będą wybitni profesorowie odnośnych uniwersytetów europejskich. Hojną dotacyę na te cele ofiarował przemysłowiec chicagoski p. Crane.

Kalendarz

W niedzielę 9 czerwca Pryma i Fel. — W. S. S.

Wschód słońca 9 czerwca o godz. 4 min. 6, zachód o godz. 7 min. 51.

W poniedziałek 10 czerwca Małgorzaty — Nykyty.

Wschód słońca 10 czerwca o godz. 4 min. 6, zachód o godz. 7 m. 52

Sprawozdanie z targu zbożowego na Kleparzu.

Kraków 7 czerwca.

Wskutek niepomyślnych sprawozdań o stanie urodzajów na Węgrzech, notowania terminowe na giełdach zbożowych w Wiedniu i Peszcie, znowu się wczoraj podniosły, a nawet odbyt na zboże gotowe się ożywił.

Te wiadomości pozostały jednak bez wpływu na dzisiejszy targ tutaj, który odbył się w usposobieniu spokojnem, gdyż chęć do kupna wcale się nie zwiększyła, odbyt tak samo jak dotychczas był bardzo ograniczony, a ceny nie zdołały się podnieść.

Płacono: pszenicę białą od 8·15 do 8·40 k. nową —·— do —·— kor. pszenicę czerwoną 8·— do 8·35 kor. pszenicę żółtą 8·— do 8·35 kor. żyto 6·90 do 7·35 k. żyto nowe 0·— do 0·— k. jęczmień browarny 6·25 do 6·75 kor. na kaszę 6·— do 6·15 kor. owies 6·70 do 7·10 kor. rzepak —·— do —·— kor. konicz czerwony —·— do —· kor. konicz biały —·— do —·— kor. kukurydza —·— do ·— kor. — wszystko za 50 kilogramów.

Bank galicyjski dla handlu i przemysłu.

Studyum o duszy ludzkiej

napisał

ks. J. Stanisław Adamski T. J.

(Ciąg dalszy)

Głowa wzniesiona do góry wymaga, żeby powierzchnia „guzów tyłogłowych“ leżała poziomo. Nie ma więzów szyjnych, unoszących głowę, jak u czworonożnych i nawet u czwororęcznych. Mięśnie grzbietu i lędźwi są bardzo rozwinięte dla utrzymania postawy prostej; „mostek“ jest krótszy i nie dźwiga serca, jak u czworonożnych; „miednica“ musi być silniej zbudowana, ażeby na niej cały ciężar ciała mógł spocząć; i w rzeczy samej, tylna jej część, „kość krzyżowa“ jest znacznie więcej wygięta, a gałęzie „łuku łonowego“ są silniejsze niż u czworonożnych. Grzebień kości biodrowych jest o wiele mniej jak u czworonożnych wystający, ponieważ u nich mięśnie brzuszne mocniejszy w tym grzbiecie punkt oparcia mieć muszą.

Wielkie „mięśnie pośladkowe“ i „brzuśce łydkowe“ dozwalają utrzymać bez znużenia postawę stojącą. Nogi są przedziwnie ukształtowane, tak do stania jak do chodu; nic podobnego się nie znajdzie w innym gatunku. Ramiona są krótkie, bo nie są do chodzenia, tylko do prac ręcznych; i dlatego też u ręki palec wielki przeciwstawiony jest drugim. U czworonożnych i nawet u małp, zwieszenie głowy wymaga, żeby krew nie napływała do niej zbyt obficie i nagle: w tym celu tętnice szyjne rozgałęziają się i tworzą tę misterną „sieć tętniczą“, którą już Galen opisał i przysądził człowiekowi dlatego, że ją znalazł u zwierząt. Lecz u człowieka ona nie istnieje, jak wykazał Vesal; krew płynie pełnym strumieniem w nasze tętnice szyjne i kręgowe: albowiem mózg ludzki żąda nierównie prędszego odżywiania, a postawa stojąca człowieka zapobiega kongestyom, któreby inaczej smutnemi groziły następstwami.[1]).

Rozwój inteligencyi wymaga znowu rozwoju mózgowia — nie dla samychże czynności umysłowych, (które są duchowe,) ale dla funkcyj zmysłów wewnętrznych, które przy działaniu umysłu więcej rozwinięte być muszą niż u zwierząt. Masa mózgowa jest zatem znaczniejsza niż u któregokolwiek zwierzęcia, zwłaszcza w pewnych punktach; płaty przednie występują ponad „ciałka prążkowane“, podczas gdy tylne, wystają w tył poza „ciałka czworacze“ i móżdżek całkiem przykrywają. Liczba zwojów mózgowych i i fałdów móżdżku jest daleko większą, i również większą jest szerokość „mostu Varola“.

Temu rozwojowi mózgowia odpowiada koniecznie rozwój czaszki, znaczniejszy niż u zwierząt, a w szczególności niż u małpy. Stąd wypływa cały układ głowy: czoło mniej pochyłe i zbliżające się do jednej linii z twarzą; szczęki górne i dolne mniej wystają; nos zatem więcej występuje naprzód; tylna część głowy jest mniejsza, więcej zaokrąglona i równoważy się z częścią przednią. Ponieważ mowa daleko większej wymaga działalności organu głosowego, człowiek posiada „cztery tętnice tarczykowe“, kiedy u zwierząt jest ich tylko dwie.

Człowiek, który ma wszystko na swoje potrzeby zużytkować, jest wszystkożerny: i stąd u niego równa wysokość wszystkich zębów. U zwierząt, to sieczne zęby, to kły, to znów trzonowe więcej występują; u niego są wszystkie równe i wszystkie pionowo ustawione.

Odpowiednio też do tego ukształcenia człowieka, jako wszystkożernego, jelito nie jest ani tak krótkie stosunkowo jak u mięsożernych, ani tak długie jak trawożernych.

Ponieważ człowiek jest przemysłowcem i sam zaopatrzyć się może w odzienie, zatem skóra jego jest naga, nie kosmata ani łuskowata, jak u zwierząt. Stąd jej nadzwyczajna delikatność i miękkość. Gdzie porost istnieje, to dla ozdoby, jak na głowie albo dla złagodzenia tarcia, jak pod pachami. Powieki i brwi do upiększenia i do użytku służą, bo zacierają oczy i chronią ich przejrzystości, zasłaniając je zarazem od promieni słońca; włosy nietylko stroją, ale zapobiegają przepaleniu głowy.

Mniejszy rozwój porostu u człowieka jest prawdopodobnie w związku z niskim rozwojem mięśni skórnych. U zwierząt widać te mięśnie wszędzie, i w każdem miejscu stanowią one jakby podkład skóry. U człowieka ukazują się tylko na czaszce i na twarzy, gdzie służą do gry wyrazu, oraz na dłoni i na podeszwach, gdzie pomagają ruchom.

Cała tkanka komórkowa jest miększa i obfitsza u człowieka, aniżeli w jakimkolwiek gatunku zwierzęcym, — co podług Blumenbacha i Meckla pozwala mu żyć w różnych szerokościach geograficznych — i to nadaje więcej zaokrąglenia, więcej giętkości, więcej wdzięku całej postaci tej najpiękniejszej w świecie istoty.....“

* * *

Ale gdybyśmy nawet mieli przypuścić, co nie jest przypuszczalnem, że w ogólności ciało ludzkie swą architektoniczną budową stanowi tylko doskonalsze i wyższe ogniwo w stopniowym rozwoju zwierzęcego organizmu — jeszczeby z tego bynajmniej nie wynikało, że człowiek jest tylko doskonalszem zwierzęciem. Przy porównaniu bowiem człowieka ze zwierzęciem nie idzie tylko i wyłącznie o anatomiczne własności ciała, lecz istotna różnica leży raczej w umysłowem uzdolnieniu człowieka, a właściwie odróżniające cechy charakterystyczne człowieka tu się dopiero rozpoczynają, gdzie ustają podobieństwa analogicznej budowy, tak iż najbardziej rozwinięte zwierzę istotnie niżej stoi od człowieka w najdzikszym jego stanie.

Dwie rdzenne władze: rozum i wolna wola stanowią między człowiekiem a zwierzęciem zasadniczą tamę i przepaść niedostępną dla stopniowej ewolucyi. Wykazaliśmy poprzednio istnienie własności i naturę tych dwu władz człowiekowi wyłącznie przynależnych.

Dla uniknienia wszelkiego pomięszania wyrazów, trzeba odróżnić pojętność od rozumu. Pojętność możemy uważać jako ogólną władzę poznawania zmysłowego zarówno jak i refleksyjnego i rozumowego. W tem znaczeniu możemy się zgodzić na to niezbyt ścisłe wyrażenie tak często używane: „pojętność zwierząt“. W zwierzętach objawy poznawania zmysłowego przedstawiają pozór, ale tylko pozór poznania wyższego. Rozum zaś jest to władza abstrachowania, uogólnienia, wynajdowania — jest to władza dosięgania i uchwycania zasad, prawd pierwszych i koniecznych, rzeczywistości niemateryalnych: jestestwa, substancyi, przyczyny, niezłożoności, jedności, mnogości, prawdy, dobra, piękna, czasu, przestrzeni, nieskończoności, absolutu itd.

Rozum to czynnik a zarazem warunek nieodzowny wolności, odpowiedzialności, duchowości, nieśmiertelności; nie da się on za pomocą analizy zamienić na inną władzę i nie da się pojąć jako synteza albo jako wynik działań niższych, tembardziej więc nie da się pojąć jako czynność organów czysto materyalnych. Takim jest rozum, pierwiastek właściwego człowiekowi poznawania umysłowego.

Przedmiotem poznawania zmysłowego wspólnego człowiekowi ze zwierzęciem są rzeczy jednostkowe, szczegółowe, konkretne: pewien dany przedmiot, pewien osobnik, pewna przyjemność, pewna potrzeba, pewien ból. Poznawanie zmysłowe zawiera w sobie pamięć rzeczy zmysłowych, władzę zatrzymywania w pamięci, przypominania sobie, łączenia wrażeń zewnętrznych; tłumaczy ono dostatecznie wszelkie fakta przypisywane tak zwanej pojętności zwierząt.

Kiedy materyaliści porównują człowieka dzikiego ze zwierzęciem najbardziej pojętnem, zapominają o dwu rzeczach: najprzód, że ponieważ wszyscy ludzie jednej są natury, zatem doskonałość duszy ludzkiej uważaną być powinna w całej objętości, do jakiej gatunek rozciągnąć się może; a powtóre o tem, że w najgłupszym człowieku są rzeczy porządku rdzennie przewyższającego najdoskonalsze ze zwierząt.

Przypuściwszy nawet, że może istnieć człowiek dziki, do tego stopnia spodlony, iżby nie pozostawał w nim żaden ślad rozumu, byłby to stan tylko przypadkowy, nienaruszający w niczem natury jego człowieczej. Rozum w takim człowieku byłby zanikły, jego objawy przez brak wykształcenia, czy użycia całkiem zatarte, ale zawszeby w nim był cały, jako władza, którąby można rozwinąć. U zwierząt zaś i u ich potomstwa, mimo wszelkiej hodowli, jednostajność jest bezwarunkowa; nie ma w nich ani śladu rozumu myślącego, uogólniającego, wynajdującego i czyniącego postępy.

Materyaliści chcieliby doskonalsze pojmowanie duszy ludzkiej tłumaczyć doskonalszym rozwojem organów człowieka. Lecz aby ten ich wybieg już z góry usunąć, zauważymy, że wiele zwierząt ma więcej rozwinięte i doskonalsze zmysły, aniżeli człowiek i że tem samem przewyższają go w spostrzeganiu zmysłowem, a jednak zwierzęta nie „myślą“. Przyznać trzeba, że doskonałość zmysłowych spostrzeżeń z doskonałością zmysłów rośnie, a z osłabieniem ich się zmniejsza; a przeciwnie, duch tem większej nabywa głębokości, tem silniej i gruntowniej pojmuje prawdę, im więcej się odrywa od zewnętrznych przedmiotów i im mniej nań wpływa działanie zmysłów. To też pomimo ubywania sił cielesnych, jakeśmy już wyżej wspomnieli, świeżość i rzeźkość ducha nie zmniejsza się, a nawet w rozkładającem się już ciele nieraz zdarza się taka jasność i głębokość umysłowego wzroku, jakiej przedtem nigdy w niem nie spostrzeżono. Kiedy każda siła ciała przez dłużej trwającą czynność osłabia się i zużywa, — siła ducha nabiera rzeźkości i bystrości im więcej i dłużej jest czynną. I chociaż człowiek zasobem swej wiedzy z drugimi się podzieli, ze swej wiedzy nic nie traci, owszem przez nauczanie drugich ją wzbogaca i w prawdzie się utwierdza, co już wyraził starożytny aksyomat: „*docendo discimus*“, (ucząc, sami się uczymy).

Drugą władą istotnie wyróżniającą człowieka od zwierzęcia jest „wolność“. Z pierwiastka refleksyjnego, działającego w nas, — mówi Bossuet, — rodzi się pierwiastek nowy: wolność. Dusza, wzniesiona przez rozum nad rzeczy cielesne, nie podlega mimowoli pociągowi ich wrażeń, pozostając wolną i panią i tych wrażeń i samej siebie. Zatem przywiązuje uwagę swą, do czego jej się podoba, i zastanawia się, nad czem chce, i używa, czego chce do celów, jakie sobie zakłada.“ [1])

Pomijając filozoficzne pojęcie wolności, a trzymając się tylko wolności empirycznej, psycho-fizycznej, jeszcze uznać musimy, że ta wolność wykazuje najistotniejszą różnicę między człowiekiem a zwierzęciem.

U człowieka zarówno jak u zwierzęcia, każde wrażenie, otrzymane za pomocą organów zmysłowych, przenosi się do mózgu i wywołuje „czynność refleksyjną“, t. j. działanie zastosowane do bezpośredniego wrażenia; atoli sam tylko człowiek, wyposażony wolną wolą, jest w stanie przerwać lub zmienić refleksyjną transmisyę danego ruchu wrażeniowego i naturalne skutki danego drgania mózgowego. Człowiek nie podlega jak atom działaniu mechanicznemu, ani jak zwierzę nieuchronnemu działaniu fizyologicznemu. Bez wątpienia, człowiek nie usuwa siły działającej, ale nią kieruje, odwraca ją i wstrzymuje; może nawet ją przemienić i wręcz przeciwnie sobie postąpić; na dane drganie mózgowe, które z natury swojej wywołuje ból albo gniew, może odpowiedzieć i nieraz odpowiada wyrażeniem przeciwnem, lekceważeniem, obojętnością, radością, uśmiechem.

Swiadectwo faktów potwierdza świadectwo własnej świadomości: zwierzę pod nożem nie może nie objawić na zewnątrz bolu, który cierpi; człowiek zaś, choćby zwyrodniały, dziki, żywcem ze skóry obdzierany przez nieprzyjaciela, ukrywa katusze swoje, urąga oprawcy swemu udaną nieczułością i niejako z bolu się natrząsa.

Człowiek posiada przedziwną władzę mówienia. Mowa, to muzyka tajemnicza, uszlachetniająca, energiczniejsza, niż wszystkie dźwięki zachwycające zmysły nasze. Człowiek myśli i dlatego mówi, bo mowa λόγος (słowo i myśl) jestto myśl, rozum, który się przejawia; myśl zaś jest słowem ducha.

(C. d. n.)

[1]) Gordon. De l'espece t. II p. 123.

[1]) De la connaissance de Dieu et de soi-même ch. 5, § 9.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor Platon Kostecki.

Z drukarni i litografii Pillera i Spółki